

Jacek Koronacki: Społeczeństwo amerykańskie AD 2020

Bez względu na wynik wyborów, w Ameryce będzie trwać głęboki społeczny kryzys. Następuje koniec pewnego okresu (można też rzec, cyklu) w życiu Ameryki, ale to jeszcze nie prezydent wybrany w tym roku wyznaczy początek nowego – pisze Jacek Koronacki w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Epoka (post?)Trumpa”.

Jest październik, za kilkanaście dni wybory prezydenta USA. Bez względu na ich wynik, w Ameryce trwać będzie głęboki społeczny kryzys. Jak to dogłębnie w swojej najnowszej, tegorocznej książce opisał wybitny i dobrze w Polsce znany politolog George Friedman, w Ameryce trwać będzie w tym dziesięcioleciu równoczesny kryzys instytucjonalny oraz społeczno-ekonomiczny. Następuje koniec pewnego okresu (można też rzec, cyklu) w życiu Ameryki, ale to jeszcze nie prezydent wybrany w tym roku wyznaczy początek nowego. Równie przekonująco pisze o tym kryzysie np. Yuval Levin (m.in. w książkach z 2016 i tego roku). Wszakże to jak pobiegnie pokonywanie owego kryzysu – a może jaka będzie Ameryka przyszłości – zależeć będzie bardzo mocno od wyniku tegorocznych wyborów.

Nie warto narzekać na dość żałosny poziom kampanii wyborczej kandydatów na prezydenta. To raczej reguła niż wyjątek. Rzeczywiście, obecni kandydaci wymyślali sobie podczas pierwszej debaty w sposób od dawna niespotykany. Ale też przypomnijmy, że gdy w 1828 roku

John Quincy Adams stawał do wyborów prezydenckich przeciwko Andrew Jacksonowi, jego zwolennicy poprowadzili kampanię zaiste obrzydliwie negatywną. Przedstawiali Jacksona jako nieokrzesanego grubianina, mordercę i cudzołożnika. Szkalowali jego żonę. Pomówili jego matkę o bycie konkubina Murzyna i jego o bycie mulackim bękartem. Zwolennicy Jacksona odpłacili się pięknym za nadobne. Co symptomatyczne, był to również czas kryzysu społeczno-ekonomicznego w Ameryce. Adams, który rządził Ameryką w latach 1824 – 1828, był ostatnim prezydentem pierwszego cyklu w życiu społeczno-ekonomicznym Ameryki, Jackson pierwszym prezydentem cyklu drugiego.

Problem nie w tym też, że w wypowiedziach kandydatów trudno dostrzec głębsze treści – tak jest wszak przy okazji każdej kampanii wyborczej. Specjaliści od wizerunku każą operować nośnymi hasłami i w ten sposób stwarzać pozory głoszenia poważnych, merytorycznie uzasadnionych programów. Najlepiej, gdy są to kwestie niełatwe do merytorycznego rozstrzygnięcia przez przeciętnego wyborcę, ale odpowiednio przedstawione zdolne wzbudzić tak wielkie emocje, jakie często towarzyszą dyskusjom dotyczącym podstawowych problemów moralnych. Na przykład Joe Biden wybrał kwestie ubezpieczeń zdrowotnych dla ubogich oraz tzw. Nowego Zielonego Ładu. To są zresztą „znaki firmowe” dzisiejszej Partii Demokratycznej, coraz mocniej lewicującej i od dekad mocno polegającej na ubogim czarnoskórym i imigranckim elektoracie. Zdecydował się także – trudno, żeby stało się inaczej – na demonizowanie roli rywala w wyborze strategii oraz ponoszonych przez Amerykanów kosztach i cierpieniach wynikłych z pandemii COVID-19.

Kandydaci na prezydenta opowiadają się za biegunowo różnymi koncepcjami ustrojowymi dla przyszłej Ameryki, która w obecnym kształcie trwać już nie może

Istota problemu na tym polega, że kandydaci na prezydenta opowiadają się za biegunowo różnymi koncepcjami ustrojowymi dla przyszłej Ameryki,

która w obecnym kształcie trwać już nie może. Niespełna dziesięć lat temu znakomity filozof polityki i obserwator amerykańskiego społeczeństwa, Peter Augustine Lawler, tak pisał:

Libertarianie narzekają, że z winy naszego postępowego prezydenta [Baracka Obamy – przyp. JK] wartości różnych wskaźników mierzących poziom obywatelskiej wolności w Ameryce szybują w dół. Amerykanie, mówią libertarianie, stają się coraz bardziej zawistni i coraz chętniej rezygnują z osobistej odpowiedzialności na rzecz bezpieczeństwa oferowanego im przez ich rząd. Charles Murray [kolejny znakomity badacz amerykańskiego społeczeństwa – przyp. JK] boleje nad upadkiem etyki pracy wśród przeciętnych Amerykanów. Inni są w swoich ocenach jeszcze bardziej dosadni i piszą o tym upadku nie tylko wśród względnie biedniejszych obywateli, ale nawet wśród tych, którzy żyją w coraz większym luksusie. Nasze rodziny coraz częściej dotyka patologia i samotne matki muszą zwracać się do państwa o to, co powinni rodzinom zapewniać odpowiedzialni ojcowie. Niektórzy powiadają, iż jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek na drodze do zniewolenia, tej o której pisali Hayek i Tocqueville.

To prawda, że swobody obywatelskie ulegają wedle pewnych obiektywnych miar erozji. Ale to nieprawda, że członkowie klasy średniej – osoby, które prowadzą małe biznesy, są wykwalifikowanymi pracownikami fizycznymi albo są kierownikami średniego szczebla – czują się ekonomicznie bardziej bezpiecznie.

Tytułem rozwinięcia tej diagnozy – lojalnie uprzedzam – pozwolę sobie przytaczać wiele danych liczbowych, dotyczących różnych sfer życia społecznego. Od roku 1984 do 2016 produkt krajowy brutto per capita rósł w sposób względnie stały, by do 2016 wzrosnąć realnie o ok. 55% (w latach 1993-2016 wzrost ten wyniósł ok. 35%; „realnie”, tzn. według wartości dolara z 2016 r.). Mediana realnych przychodów gospodarstwa domowego (o średniej liczności gospodarstwa wynoszącej 2,8 osoby) wzrosła w tych samych latach o ok. 20% (w latach 1993-2016 o ok. 15%, z tym że do roku 2014 wzrost ten wyniósł tylko 5%, później nastąpiło wyraźne jego przyspieszenie, trwające aż do wybuchu pandemii). A zatem mediana przychodów gospodarstwa domowego rosła znacznie wolniej niż PKB per capita. Co więcej, mediana mówi nam – pomijając gospodarstwa, w których przychody są jej równe – że w połowie gospodarstw przychody są niższe i w połowie wyższe od jej wartości. Mówi zatem dużo o tym, jakie są przychody przeciętnych gospodarstw, ale nie jakie są rozpiętości tych przychodów. Tymczasem w owym 2016 roku mediana rocznych przychodów gospodarstw zamieszkałych przez osoby bez pełnego średniego wykształcenia wynosiła ok. 30 tys. dolarów, ze średnim wykształceniem ok. 40 tys., z wyższym ok. 80 tys. a z doktoratem ok. 135 tys. dolarów. Przychody gospodarstw domowych osób z niższych warstw prawie w ogóle nie rosły w ciągu ostatniego trzydziestolecia, warstw wyższych rosły tym szybciej, im wyższe było wykształcenie domowników. Utrzymaniu niskich zarobków niższych

warstw na pewno sprzyjał napływ ubogich imigrantów, zwłaszcza z Meksyku (dziś ocenia się, że liczba legalnych i nielegalnych imigrantów wynosi przynajmniej 10-11 milionów). Warto jeszcze odnotować, że roczne przychody 5% najbardziej majątnych gospodarstw domowych sięgnęły w 2016 r. co najmniej 214 tys. dolarów, a w 2018 co najmniej 248 tys. i był to 42-procentowy wzrost w porównaniu z rokiem 1988 (mediana dla wszystkich pracujących wynosiła w 2016 r. prawie 60 tys. dolarów i w 2018 r. ok. 63 tys. dolarów).

W Ameryce trwać będzie w tym dziesięcioleciu równoczesny kryzys instytucjonalny oraz społeczno-ekonomiczny

W drugiej połowie XX wieku zaczęła się w Ameryce swego rodzaju deindustrializacja, która przede wszystkim dotknęła zakłady przemysłu

stalowego i węglowego, ale także innych zakładów produkcyjnych. Nieomal zrujnowała gospodarkę środkowego zachodu i Nowej Anglii. W latach 80. przyspieszenia zaczęła nabierać praktyka tzw. outsourcingu. Wielkie korporacje przenosiły coraz więcej prac za ocean, do Azji. Amerykanie – od warstwy pracowników fizycznych po część obywateli ze średniej klasy tracili pracę w swoich zawodach. Duża część klasy średniej i warstwy niższe zostały skazane na stagnację albo raczej względne zubożenie – razem z traconymi stanowiskami pracy zniknęły też płace z nimi związane. Wielki biznes wyrzucił duży segment amerykańskiego społeczeństwa poza obszar zdrowego rozwoju przemysłowego, od przemysłu stalowego po elektroniczny i informatyczny.

Dramatycznie zmieniała się sytuacja społeczna białych robotników. W tej warstwie białych obywateli, w grupie osób w wieku od 30 do 49 lat, 84% osób żyło w związku małżeńskim w roku 1960, ale tylko 48% w roku 2010. Procent rozwodów wzrósł w tej grupie z 4% w roku 1960 do 33% w roku 2010. Aż 22% dzieci są wychowywane przez osoby rozwiedzione, żyjące w separacji lub przez matki, które nigdy nie miały męża. Wśród białych matek, które nie ukończyły szkoły średniej, procent dzieci nieślubnych sięgnął 60%. W roku 2010 procent dzieci żyjących w pełnej biologicznej rodzinie, gdy matka osiągnęła 40. rok życia, spadł do 35 (w wyższej klasie średniej jest to 85%). W warstwie białych robotników aż 60% tej populacji albo nie wyznawało w 2010 r. żadnej religii, albo nie pojawiała się w kościele częściej niż raz w roku (dla całej amerykańskiej populacji procent ten wynosił 41%).

Jeśli za nową klasę niższą uznać za Charlesem Murrayem tę część mężczyzn z populacji robotników, która nie potrafi lub nie chce zarobić na utrzymanie dwuosobowego gospodarstwa domowego powyżej progu ubóstwa, to okaże się, że takich białych mężczyzn w wieku od 30 do 49 lat było w populacji robotniczej 8% w roku 1967 i odtąd procent ten stale rósł, by w roku 2007 osiągnąć 27%.

Kilkadziesiąt lat temu biali Amerykanie nie zarabiający na utrzymanie dwuosobowej rodziny nie stanowili klasy, która mogłaby wyznaczać obyczaje i sposób życia warstwy pracowników fizycznych. Żyli na marginesie, bez własnej winy, albo skutkiem własnego wyboru. Dziś zbudowali nową klasę niższą współwyznaczającą cywilizacyjny wzorzec dla niemałego segmentu amerykańskiego społeczeństwa.

Bez pardonowe włączenie się państwa w zwalczanie segregacji rasowej w połowie XX wieku i niedługo później rozwinięcie państwowej opiekuńczości miało na pewno decydujący wpływ na zniszczenie moralnej kondycji dużego segmentu czarnoskórych Amerykanów. Podczas gdy w roku 1940 dzieci urodzonych w związkach pozamażeńskich było wśród czarnych obywateli 14%, to w roku 1980 r. było to już 56% dzieci i ok. 70% w roku 2010. Przemiany ekonomiczne sprawiły, że parę dekad po czarnoskórych obywatelach nie mały segment białej populacji dołączył do warstwy ubogich chętnie polegających na opiekuńczości państwa.

Gdy spojrzymy na całe społeczeństwo i zapytamy o jego poglądy na kwestie dotyczące moralności i obyczajów, to np. dowiemy się, że 68% Amerykanów sprzeciwiało się tzw. homoseksualnym małżeństwom w roku 1966, ale na krótko przed zalegalizowaniem tych „małżeństw” przez Sąd Najwyższy w roku 2015 okazało się, iż tym razem popiera ich legalizację aż 60% obywateli. Dziś trwa walka o „prawa transseksualistów” i różne inne tego typu „prawa”, które mniej albo bardziej otwarcie promują demokratyczni kandydaci na prezydenta i wiceprezydenta.

Gdy natomiast spojrzeć na stosunek amerykańskiego społeczeństwa do zabijania nienarodzonych dzieci, to dowiemy się, że obecnie – a dane te są stosunkowo niezmiennie przez ostatnie lata – aborcja powinna być dopuszczalna bez żadnych ograniczeń w pierwszym trymestrze ciąży według 60% badanych, w drugim według 28% i później według 13%. Bezwarunkowo przeciwnych zabijaniu nienarodzonych dzieci jest 20% respondentów. Pomijając w oszacowaniach naturalne poronienia, w ostatnich latach aborcją kończy się około 18% ciąż – mniej więcej taki

jest procent aborcji w większości stanów, wyjątkowo jest ich dużo w District of Columbia (w 2017 r. 37%), stanach New Jersey (32%) i New York (31%), szczególnie mało w stanach Idaho (5%), Południowa Dakota (4%) i Wyoming (2%). W 2016 r. wśród zamężnych matek 4% ciąż zakończyły się aborcją, natomiast wśród niezamężnych aż 28%.

Dane dotyczące sprzeciwu wobec nieograniczonych możliwości zabijania nienarodzonych dzieci ilustrują ciekawe zjawisko. Prawie $\frac{3}{4}$ amerykańskiego społeczeństwa jest przeciw nieograniczonemu prawu do aborcji w drugim trymestrze ciąży. A jednak prezydentem USA mógł przez dwie kadencje być Barack Obama, człowiek konsekwentnie popierający okrucieństwo zabijania dzieci w trzecim trymestrze ciąży nawet wtedy, gdy ciąża nie zagraża życiu matki. Ten sam Barack Obama był przeciwny prawnemu nakazowi podtrzymania życia dziecka, które przyszło na świat żywe na skutek źle przeprowadzonej aborcji. Dziś natomiast kandydatem na prezydenta, z dużymi szansami na wygraną, jest wiceprezydent w rządzie Obamy, reprezentujący to samo stanowisko co jego szef w latach 2008-2016. Skąd ta demokratyczna schizofrenia, z ciągle jeszcze w miarę moralnym społeczeństwem i jego lewicowymi prezydentami? Bez wątpienia bardzo upraszczając, ale nie bez racji można stwierdzić, iż ta wynika z rachunku oddanych i nieoddanych głosów – skoro w kraju głosuje około 60% osób do tego uprawnionych, praktycznie połowa z nich na jednego kandydata i połowa na drugiego, to wystarczy, by 30% społeczeństwa zagłosowało na kandydata lewicy by ten mógł zostać wybrany.

Ostatnie dekady XIX wieku przyniosły tzw. pozłacany wiek (c. 1870-1900) i w jego ramach dynamiczny rozwój wielkiego biznesu, kontynuowany podczas tzw. postępowej ery (c. 1890-1920). Jednym z fundamentów owego rozwoju było wówczas bezprecedensowe

*Państwo oddało codzienną
władzę cywilnej służbie
ekspertów – technokratów,
prawników, ekonomistów,
urzędników*

związanie tegoż
biznesu i coraz
potężniejszych
banków z klasą
polityczną. Odtąd
polityka państwa i
rozwój biznesu
pozostawały już
ściśle ze sobą

powiązane. Zorganizowany przez państwo za prezydentury Franklina Delano Roosevelta tzw. New Deal, mimo ingerencji w gospodarkę i społeczeństwo na nieznaną wcześniej skalę, nie rozwiązał ekonomicznych kłopotów Ameryki. Potrzebna była do tego niezwykła mobilizacja narodu w okresie II wojny światowej – np. ponieważ mężczyźni znaleźli się na wojnie, kobiety stanowiły wówczas aż 37% siły roboczej (65% w przemyśle lotniczym) – oraz odpowiednie pokierowanie przez państwo całą machiną wojenno-przemysłową. Po wojnie państwo kierowało procesem przestawienia produkcji na pokojową oraz pomożeniem byłym żołnierzom we włączeniu się w dzieło rozwoju ich kraju. Dla przykładu, państwo stworzyło bankom możliwość udzielania weteranom tanich pożyczek mieszkaniowych, co znakomicie przyczyniło się do rozwoju (jednorodzinnego) budownictwa mieszkaniowego. Co najmniej przez pierwsze dziesięciolecie po II w. św. Ameryka doświadczała bardzo szybkiego rozwoju ekonomicznego, była gospodarczą potęgą bez konkurencji z zewnątrz. Rozwój zaczął zwalniać wraz z pojawieniem się zaoceanicznej konkurencji.

Państwo, które dawno temu zdecydowało się koordynować rozwój gospodarczy kraju, oddało codzienną władzę cywilnej służbie ekspertów – technokratów, prawników, ekonomistów, urzędników – tworząc kolejne rządowe agencje odpowiadające za ten rozwój.

Potrzebowało także coraz większej liczby regulacji prawnych i tym samym coraz więcej instytucji kontrolujących stosowanie się do owych regulacji.

Ale to była droga w jedną stronę, prowadząca do obecnego kryzysu instytucjonalnego i społecznego. Instytucje kontrolne się mnożyły, podobnie było i jest z regulacjami prawnymi. W 1936 roku było 9 różnych rządowych agencji i komisji. Liczba agencji zaczęła gwałtownie rosnąć w latach 60. i 70. XX wieku. W roku 1990 historyk Forrest McDonald doliczył się 25 rządowych agencji, w 2013 roku Charles Murray 70. Ten drugi zwrócił uwagę, że chcąc właściwie ocenić rozrost administracji, należy jeszcze dodać 15 ministerstw (w przykładowym znalazł 49 biur podległych trzem wiceministrom lub bezpośrednio ministrowi). Z kolei zbiór różnych federalnych regulacji liczył w 2012 roku 174 545 stron (nie licząc prawa podatkowego grubości więcej niż czterech Biblii). Do obowiązujących regulacji należy oczywiście dołączyć jeszcze ustawy Kongresu i wykonawcze zarządzenia prezydenta (a na przykład ustawa dotycząca wprowadzonego za prezydenta Obamy ubezpieczenia zdrowotnego liczy sobie 1024 strony). Obywatel gubi się w mrowiu przepisów, np. dotyczących wspomnianego ubezpieczenia zdrowotnego. Drobnny przedsiębiorca traci zbyt wiele pieniędzy na dbanie o to, by nie pogwałcić tych czy innych przepisów.

Racjonalne w danym okresie sposoby ingerencji państwa w gospodarkę nie tylko nie były w odpowiednim momencie likwidowane, ale przedziergały się w chore działania o charakterze ideologicznym. Na przykład dobrze pomyślany program kredytów dla weteranów II wojny światowej zamienił się dekady później w źle pomyślany program kredytów mieszkaniowych dla osób najczęściej niezdolnych do jego

spłacenia. Tak doszło do potężnego kryzysu finansowego w roku 2008. I jak zawsze w sytuacji kryzysu ekonomicznego czy finansowego, jego konsekwencje boleśnie dotknęły zwłaszcza klasę średnią, która także poniosła gros kosztów wyjścia z niego. Przykładów tego rodzaju można by podać więcej.

Co w dłuższej perspektywie jeszcze gorsze, państwo przestało być sterowne. Wiele rządowych agend odpowiada za to samo, jedna nie wie, co czyni druga, żadna nie widzi całości, która zwykle daleko wykracza poza ten jej wąski fragment, za który dana agenda odpowiada. Na samej górze tych agend jest prezydent i jest Kongres. I tu także nie jest lepiej. Prezydent z łatwością przejmuje część kompetencji Kongresu, którego rola coraz bardziej ogranicza się do międzypartyjnych sporów, o podłożu raczej ideologicznym niż merytorycznym, nie mających nic wspólnego ze wspólnym wypracowywaniem ustaw służących dobru całego społeczeństwa. Prezydent odpowiada za politykę międzynarodową, ale administracja potrafi bojkotować jego decyzje i realizować politykę niezgodną z prezydencką wolą.

Rola Kongresu coraz bardziej ogranicza się do międzypartyjnych sporów nie mających nic wspólnego ze wspólnym wypracowywaniem ustaw służących dobru całego społeczeństwa

Duża część społeczeństwa rozumie, że amerykański rząd – wszystkie jego gałęzie – nie reprezentuje jej interesów. Jak to doskonale ujął konserwatywny

komentator James Kalb, wyznaczono jej rolę biernego proletariatu.

Część ta wie, że rząd lekceważy i gwałci amerykańską tradycję społeczną i amerykańskie dziedzictwo, w tym dziedzictwo samorządności, wie też, że rządzenie nabrało charakteru społecznej inżynierii. Wie wreszcie, że taka sytuacja nie przeszkadza klasie, która na tym korzysta albo przynajmniej znalazła sobie wygodne miejsce w takim państwie, jakie dziś stanowi Ameryka. Jest to merytokracja – zamieszkała głównie na wschodnim (właściwie północno-wschodnim) i zachodnim wybrzeżu klasa ludzi z wyższym wykształceniem, najczęściej zdobytych na elitarnych uczelniach, klasa ludzi o wysokiej pozycji w swoich zawodach, zwykle ciągle jeszcze przechowująca dobre obyczaje we własnych rodzinach, ale jednocześnie płynąca z prądem politycznej poprawności, który dziś nakazuje m.in. czcić tzw. różnorodność (czyli opowiadać się za jakimiś specjalnymi prawami dla mniejszości etnicznych czy seksualnych).

Tych dwóch wymienionych części narodu nic nie łączy. Może poza tym, że jedna i druga przeżywają swoje wewnętrzne społeczne kryzysy. W tej ogólnie biorąc gorzej wykształconej złe owoce wydaje skądinąd uzasadniona frustracja oraz promowana przez opiniotwórczy establishment moralna degradacja. Jak widać, zwłaszcza w jej warstwie robotniczej rośnie odsetek osób upadających moralnie. Części najlepiej (co nie znaczy dobrze) wykształconej powinna doskwierać świadomość, że na ma w niej tej etycznej i duchowej pewności, nie ma etosu, który miałby siłę i byłby godny promieniowania na resztę narodu. Należący do tej klasy profesorowie wyższych uczelni, opiniotwórczy dziennikarze większości mediów i inni merytokraci co najmniej przyzwalają na postępującą moralną degradację reszty narodu. Ponoszą również odpowiedzialność za wpojenie niektórym młodym i starszym chorej nienawiści do własnego kraju i jego historii, oraz rozpanoszenie się nakazu podlizywania się motłochowi szalejącemu na ulicach amerykańskich miast.

Ci z pierwszej grupy nie będą głosować w jednolity sposób. W stanach historycznie przemysłowych ich głosy będą padać i na jednego, i na drugiego kandydata, nie wiadomo na którego padnie ich więcej. Ogromny i mniej zaludniony obszar między Appalachami i Górami Skalistymi, i także Iwią część południa USA zamieszkali kiedyś imigranci zajmujący się – mówiąc najbardziej ogólnie i nie wnikając w dzielące ich różnice – produkcją rolną. Ich potomkowie często zachowali szczególne wyczucie własnej godności i obywatelskiej suwerenności, bycia panem na swoim, jakby to „swoje” nie było niekiedy skromne. Jeśli pójdą głosować, to w większości na Donalda Trumpa. Ci z drugiej grupy chcą, by wygrał Joe Biden.

Jacek Koronacki

Fot. Andreas Praefcke, CC BY 3.0



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego